

STEPHEN
KING

SKLEPIK
Z MARZENIAMI



Na pewno, pamiętam, pamiętam. Nigdy nie zapominał twarzą.

Podejdz no bliżej, niech ci uścisknę dłoń. Coś ci powiem, rozpoznałem cię po chodzie, jeszcze zanim zobaczyłem twoją twarz. Nie mogłeś wybrać lepszego dnia na powrót do Castle Rock. Ślicznie dziś, prawda? Wkrótce zacznie się sezon polowań. Bandy głupków będą strzelać do wszystkiego, co się rusza i nie nosi pomarańczowej kamizelki, potem spadnie śnieg, zaczną się zamiecie, ale to mamy jeszcze przed sobą. Na razie jest październik, a w Castle Rock wszyscy są za tym, by październik trwał tak długo, jak tylko zechce.

Jeśli o mnie chodzi, to najlepsza pora roku. Wiosna, owszem, bywa miła, ale zawsze wolę październik od maja. Kiedy lato się kończy, wszyscy na ogół zapominają o zachodnim Maine. Letnicy z domków nad jeziorem i ci z góry, z View, wracają do Massachusetts i do Nowego Jorku. Co roku ludzie z wyspy patrzą na ich przyjazdy i odjazdy – cześć, cześć, cześć, pa, pa, pa. Fajnie, że przyjeżdżają, bo przywożą miejskie dolary, fajnie, że odjeżdżają, bo przywożą też swoje miejskie zadry.

O tych zadrach chciałem właśnie z tobą pogadać, nie siądziesz na chwilkę? Tu, na schodach estrady, będzie nam doskonale. Słoneczko przygrzewa i stąd, z samego środka miejskiego parku, widać niemal całe śródmieście. Trzeba tylko uważać na drzazgi. Schody warto byłoby wyszlifować, a potem pomalować. To zajęcie Hugh'a Priesta, ale Hugh jakoś nie może się do niego zabrać. Pije. To żadna tajemnica. Oczywiście, w Castle Rock można i trzyma się parę rzeczy w tajemnicy, ale trzeba się nad tym cholernie napracować, a wszyscy wiemy, że wiele czasu minęło od chwili, kiedy Hugh i praca jakoś się ze sobą zgadzali.

Co to takiego?

A, to! Fajne, nie? Te ulotki znajdziesz w całym miasteczku. Moim zdaniem, Wanda Hemphill (jej mąż, Don, prowadzi Hemphill's Market) sama rozklejała większość z nich. Zerwij jedną ze słupka i podaj mi, dobrze? Daj spokój, nikt jeszcze nie zrobił interesu tylko dlatego, że przykleił reklamówkę na estradzie w parku miejskim.

O, kurka! Tylko popatrz. HAZARD I SZATAN! – wydrukowane na samej górze. Wielkie, czerwone litery, z których unosi się dym, jakby to była przesyłka z samego piekła. Ha! Gdyby ktoś nie wiedział, jakim sennym małym miasteczkiem jest Castle Rock, mógłby pomyśleć, że rzeczywiście schodzimy na psy. Ale wiesz, że w takich miastach niektóre sprawy tracą proporcje. Wielebny Willie musiał w tym maczać pazury. Z całą pewnością. Kościoły w małych miasteczkach... chyba nie muszę ci mówić, jak to jest. Jakoś tam się tolerują – prawie tolerują – ale nigdy nie czują się dobrze w swym towarzystwie. Przez jakiś czas jest spokój, a potem zaczyna się rozróżba.

Tym razem to wielka, piękna rozróżba. Ludzie mają sobie za złe mnóstwo spraw. W sali Rycerzy Kolumba, po drugiej stronie miasta, katolicy chcą otworzyć kasyno. Nazwali je Casino Nite. Z tego, co wiem, ma być czynne w ostatni czwartek każdego miesiąca; dochody przeznaczone będą na naprawę kościelnego dachu. To kościół pod wezwaniem Matki Bożej Spokojnych Wód, musiałeś go mijać przy wjeździe do Castle Rock, jeśli przyjechałeś od strony Castle View. Śliczny kościółek, nie?

Casino Nite wymyślił ojciec Brigham, ale tak naprawdę piłkę chwyciły Córy Izabeli, a zwłaszcza Betsy Vigue. Chyba już się zobaczyła w skąpej czarnej jedwabnej sukni, jak rozdaje karty przy pokerowym stole albo kręci kołem rulety i mówi: „Panie i panowie, proszę obstawiać, proszę obstawiać!”. W gruncie rzeczy kasyno podoba się chyba im wszystkim. Gra ma być na dziesiątaki i ćwierćdolarówki, niewinna zabawa, ale Córom, mimo wszystko, wydaje się zakazanym owocem.

Z kolei wielebny Willie wcale nie uważa tej zabawy za niewinną ani za rozkoszny zakazany owoc. Wielebny Willie – tak naprawdę wielebny William Rose – nigdy nie lubił ojca Brigham. I wzajemnie. (To właśnie ojciec Brigham pierwszy nazwał wielebnego Rose'a Parowym Williem, o czym wielebny doskonale wie).

Starcia tych dwóch szamanów krzeszały iskry i przedtem, ale Casino Nite to już nie starcia, tylko pełny ogień. Kiedy wielebny Willie dowiedział się, że katolicy mają zamiar uprawiać nocami hazard – w sali Rycerzy Kolumba! – podskoczył pod sufit, omal nie rozbijając sobie tej

swojej spiczastej małej główki. Za ulotki HAZARD I SZATAN zapłacił z własnej kieszeni, a Wanda Hemphill z przyjaciółkami z kółka krawieckiego rozrzuciła je po całym mieście. Od tej pory katolicy i baptyści rozmawiają ze sobą wyłącznie za pośrednictwem rubryki „Listy” w naszym lokalnym tygodniku; tam się wściekają, wymachują pięściami i jedni drugim grożą piekłem.

Rzuć okiem, zaraz zobaczysz, o czym mówię. Tam, z banku, właśnie wyszła Nan Roberts, właścicielka kawiarenki U Nan i zdaje się najbogatsza osoba w miasteczku, od kiedy stary Pop Merrill przeniósł się na pchli targ w niebie. Nan jest baptystką, chyba od czasów kiedy Hektor był szczeniakiem. Z drugiej strony idzie wielki Al Gendron – katolik, przy którym papież wydaje się heretykiem, i najlepszy przyjaciel Irlandczyka, ojca Brighama.

Patrz, patrz! Widzisz, jak nosy idą w górę? Ha! Ale kino! Założy się o niezłą sumkę przeciw zapalkom, że kiedy się mijali, temperatura między nimi spadła o kilkanaście stopni. Moja mamusia powtarzała, że ludzie mają swoje rozrywki, które zawstydziłyby zwierzaki.

A teraz popatrz w drugą stronę. Widzisz ten radiowóz z Biura Sze-ryfa, zaparkowany przy wypożyczalni wideo? Za kierownicą siedzi John LaPointe. Można pomyśleć, że pilnuje, żeby kierowcy nie przekraczali dozwolonej prędkości; ograniczenie obowiązuje w całym śródmieściu, a już zwłaszcza po lekcjach w szkole. Jeśli jednak przysłonisz oczy i spojrzysz dokładniej, zobaczysz, że wpatruje się w wyjęte z portfela zdjęcie. Stąd go nie widać, ale wiem, co na nim jest, równie dobrze, jak znam panieńskie nazwisko swojej matki. Andy Clutterbuck zrobił je Johnowi i Sally Ratcliffe jakiś rok temu, na jarmarku we Freyburgu. Na tym zdjęciu John obejmuje Sally, a ona tuli do piersi pluszowego misia, którego John wygrał dla niej na strzelnicy. Oboje są tacy szczęśliwi, jakby mieli zaraz zakwitnąć. Ale, jak mówią, to było kiedyś, a teraz jest teraz; no więc dziś Sally jest zaręczona z nauczycielem wychowania fizycznego w liceum, Lesterem Pratem, pełnej krwi baptystą, jak zresztą ona sama. John nie wyszedł jeszcze z szoku po tym zerwaniu. Widzisz, jak wzdycha? Sam sobie wypracował porządny przypadek depresji. Tylko ktoś nadal zakochany (albo taki co myśli, że jest zakochany) potrafi wzdychać równie głęboko.

Zauważyłeś, że kłopoty i zadry na ogół wynikają z drobiazgów? Zwyczajnych, pospolitych spraw. Pozwól, że dam ci przykład. Widzisz tego gościa, wchodzącego właśnie po schodach do gmachu sądów? Nie, nie tego w garniturze, to przewodniczący naszej Rady Miejskiej, Dan

Keeton. Chodzi mi o tego drugiego, czarnego, w roboczym kombinezonie. To Eddie Warburton, nocny dozorca w Ratuszu. Nie spuszcza z niego wzroku jeszcze przez kilka sekund, zobaczysz, co zrobi. O! Widzisz, jak zatrzymuje się na samej górze i patrzy w dół ulicy? Założę się o jeszcze więcej dolców przeciw zapałkom, że patrzy na stację Sunoco. Właścicielem i głównym mechanikiem Sunoco jest Sonny Jackett. Nie lubią się z Eddiem od czasu, gdy dwa lata temu Eddie chciał u niego naprawić przekładnię kierownicy.

Pamiętam ten jego samochód. Honda civic. Nic specjalnego, ale dla Eddiego była czymś specjalnym: pierwszym i jedynym w jego życiu nowiutkim samochodem. A Sonny nie tylko spaprał robotę, ale jeszcze zażądał jakichś strasznych pieniędzy. Tak przynajmniej opowiada Eddie. Sonny twierdzi, że Eddie próbował wykorzystać fakt, że jest Murzynem, żeby nie płacić za naprawę. Wiesz, jak to jest, nie?

No więc Sonny Jackett pozwał Eddiego Warburtona do sądu, pokrzyżceli na sobie zdrowo najpierw na sali, potem na korytarzu. Eddie powiedział, że Sonny nazwał go durnym czarnuchem, a Sonny na to: „Nie powiedziałem »czarnuchem«, ale reszta się zgadza”. Z sądu żaden nie wyszedł zadowolony. Sędzia kazał Eddiemu zapłacić pięćdziesiąt dolców; Eddie twierdził, że to o pięćdziesiąt za dużo, a Sonny, że o wiele za mało. Nagle, nie wiadomo dlaczego, honda Eddiego zapaliła się od zwarcia w instalacji elektrycznej i dokonała żywota na złomowisku przy drodze miejskiej numer 5. Eddie jeździ teraz oldsmobilem na olej z 89 roku. Nigdy nie przestał wierzyć, że Sonny Jackett wie więcej o tym zwarcu, niż powiedział.

Chłopie, ludzie mają rozrywki, które zawstydziłyby zwierzaki, prawda? Niewiele więcej da się znieść w gorący dzień, nie?

A przecież to zwykłe życie w małym miasteczku, nazwij je jak chcesz: Peyton Place, Gover's Corner czy Castle Rock. Ludzie jedzą ciasteczka, piją kawę i za plecami obgadują się wzajemnie: Slopeya Dodda, że jest samiutki, bo inne dzieciaki wyśmiewają się z jego jąkania, i Myrtle Keeton, że sprawia wrażenie, jakby nie bardzo wiedziała, gdzie jest i co ma zrobić, a to dlatego, że jej mąż (facet, który wchodził do sądu przed Eddiem) od pół roku przestał być sobą. Widzisz, jakie ma spuchnięte oczy? Chyba płakała albo nie spała za dobrze, a może i jedno, i drugie? Jak sądzisz?

A tam idzie Lenore Potter. Wygląda jak z pudełeczka, nie? Pędzi do „Western Auto” sprawdzić, czy przyszedł już specjalny nawóz organiczny, który zamówiła. Ta kobieta ma więcej gatunków kwiatów w swo-

im ogródka, niż Carter zażył pigulek na wątrobę. Jest z nich strasznie dumna. Kobiety z miasteczka nie lubią jej. Z tymi swoimi kwiatami, humorami i bostońską trwałą za siedemdziesiąt dolarów uchodzi za zarozumiałą. I między nami mówiąc, skoro już siedzimy sobie na słoneczku na tych nieoheblowanych schodkach estrady, moim zdaniem całkiem słusznie.

Pewnie sądzisz, że wszystko to jest bardzo zwyczajne, ale nie każdy z problemów Castle Rock jest taki zwykły, powiedzmy to sobie od razu. Nikt tu nie zapomniał Franka Dodda, policjanta z dyżurów na przejściu przed szkołą, który dwanaście lat temu zwariował i pozabijał te wszystkie kobiety; nikt nie zapomniał psa, który dostał wścieklizny i zabił Joego Cambera i tego pijaczka, co mieszkał obok niego przy drodze. Pies zabił także dobrego, starego szeryfa George'a Bannermana. Teraz szeryfem jest Alan Pangborn, dobry człowiek, ale nigdy w oczach ludzi z miasteczka nie dorówna Wielkiemu George'owi.

To, co spotkało Reginalda „Popa” Merrilla, także trudno nazwać czymś zwyczajnym. Pop był starym skąpiradłem i często zaglądał do sklepiku ze starzyzną. Emporium Galorium – tak się nazywał ten sklep – stało tam, gdzie teraz jest pusta parcela. Spaliło się jakiś czas temu. Są ludzie, którzy widzieli pożar (albo przynajmniej twierdzą, że go widzieli) i po kilku piwach w Potulnym Tygrysie opowiedzą ci, że Emporium Galorium i starego Popa nie strawił „zwykły” ogień.

Bratanek Popa, Ace, twierdzi, że tuż przed pożarem coś dziwnego przytrafiło się jego stryjowi – coś jakby wprost ze *Strefy Zmroku*. Oczywiście Ace'a nie było na pogrzebie starego, kończył czteroletnią odsiadkę w Shawshank za włamanie. Wszyscy wiedzieli, że Ace Merrill źle skończy! Kiedy chodził do szkoły, był chyba najgorszym rozrabiaką w historii Castle Rock. Chłopaków, którzy uciekali na drugą stronę ulicy, kiedy Ace podchodził do nich w tej swojej motocyklowej kurtce z brzęczącymi zamkami i nitami i w ciężkich butach stukających po asfalcie, można liczyć na setki. A jednak ludzie uwierzyli mu, wiesz... Może rzeczywiście coś dziwnego przydarzyło się Popowi, a może to tylko plotki u Nan, przy kawie i szarlotce.

Cóż, żyje się tu chyba bardzo podobnie jak w miasteczku, w którym dorastałeś, przyjacielu. Ludzi dzieli religia, zawiść, kłóć się i mają do siebie żal... od czasu do czasu można pogadać o jakiejś niesamowitej historii, o tym, co mogło lub nie mogło przydarzyć się w sklepiku tej nocy, kiedy umarł Pop; chwila rozrywki na nudny wieczór. Castle Rock to mimo wszystko fajne miejsce, dobrze się tu żyje i wzrasta, jak

mówią tablice przy każdej z dróg wjazdowych. Promienie słońca padają na liście drzew i na jezioro, a w wyjątkowo piękny dzień z Castle View widać nawet wszystkie drogi do Vermont. Letnicy wściekają się na siebie, kiedy zabraknie niedzielnych gazet, na parkingu Potulnego Tygrysa w piątki lub soboty (a czasami i w piątki, i w soboty) zdarzają się bójkki, ale letnicy zawsze w końcu wyjeżdżają, a bójkki ustają. Nasze Castle Rock to w gruncie rzeczy fajne miasteczko, a kiedy ktoś zaczyna się nagle wściekać, to wtedy mówimy: przejdzie mu, przejdzie jej.

Henry Beaufort na przykład ma dość Hugh'a Priesta, kąpiącego po pijaku jego szafę grającą... Ale Hughowi przejdzie. Wilma Jerzyk i Nettie Cobb są na siebie wściekle, ale Nettie najprawdopodobniej przejdzie, a jeśli chodzi o Wilmę, to wściekłość jest po prostu jej sposobem życia. Szeryf Pangborn nadal oplakuje żonę i młodszego syna, którzy zginęli przedwcześnie. Była to straszna tragedia, ale szeryfowi też kiedyś przejdzie. Artretyzm Polly Chalmers nie ma zamiaru ustąpić i z pewnością jej nie przejdzie, ale Polly nauczy się z nim żyć. Jak miliony innych.

Zawsze ktoś się z kimś kłóci, ale na ogół sprawy idą dobrze. A przy najmniej szły, aż do dziś. Lecz teraz, przyjacielu, zdradzę ci tajemnicę. Zawołałem cię, kiedy zobaczyłem, że wróciłeś do miasta. Sądzę, że będziemy mieli kłopoty, prawdziwe kłopoty. Czuję je, czają się tuż za horyzontem, nieoczekiwane jak zimowa burza, gwałtowna i z mnóstwem błyskawic. Kłótnie baptystów z katolikami o Casino Nite, okrucieństwo dzieci wyśmiewających biednego Slopeya-jąkałę, nieszczęśliwa miłość Johna LaPointe, rozpacz szeryfa Pangborna... moim zdaniem, wszystko to okaże się całkiem nieważne w porównaniu z tym czymś, co nadchodzi.

Widzisz ten dom po drugiej stronie głównej ulicy? Trzy domy za pustą parcelą, gdzie kiedyś stało Emporium Galorium? Ten z zieloną markizą, tak, właśnie ten. Okna ma zamalowane, interes jeszcze nie ruszył. Szylid głosi: „Sklepik z Marzeniami” – do diabła, co to właściwie ma znaczyć? Nie, ja też nie wiem, ale stąd płyną moje złe przecucia.

Właśnie stąd.

Jeszcze raz spójrz na ulicę. Widzisz tego chłopca? Tego, który prowadzi rower i wygląda na pogrążonego w słodkich chłopięcych marzeniach? Nie spuszcza z niego oka, przyjacielu. Moim zdaniem wszystko zacznie się właśnie od niego.

Nie, przecież mówiłem, nie wiem, co się zacznie... Zupełnie nie wiem. Ale nie spuszcza z tego małego. I nie wyjeżdżaj z miasteczka

ka, dobrze? Mam złe przeczucia. Jeśli coś rzeczywiście się wydarzy, dobrze byłoby mieć świadka.

Znam tego chłopca, który pcha rower. Nazywa się Brian jakośtam. Może ty też go znasz. Jego tata robi chyba wykończeniówkę domów w Oxfordzie i South Paris: instaluje drzwi, zakłada okładziny.

Nie spuszcza z niego oka, mówię ci. Nie spuszcza z niego! Już tu kiedyś byłeś, ale w powietrzu wisi zmiana.

Czuję ją.

Jestem jej pewien.

Nadchodzi burza.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Wielkie uroczyste otwarcie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1

W małym miasteczku otwarcie nowego sklepu to wydarzenie.

Dla Briana Ruska nie było jednak tak ważne, jak dla innych, na przykład jego matki. Słyszał, jak od mniej więcej miesiąca dyskutowała na ten temat (nie wolno ci używać słowa „plotkowała” – zapowiedziała synowi – bo plotkowanie to wstrętny nawyk i ja nigdy nie plotkuję) bardzo zapalczynie ze swą najbliższą przyjaciółką, Myrą Evans. Pierwsi robotnicy pojawili się w budynku, w którym mieściła się niegdyś Agencja Obrotu Nieruchomościami Zachodniego Maine i Ubezpieczenia, mniej więcej wtedy, kiedy znowu zaczęła się szkoła, i aż do dziś krzątali się tam jak pszczołki. Nikt właściwie nie wiedział, o co chodzi; pierwszą rzeczą, jaką zrobili, było wstawienie wielkich okien wystawowych, drugą – zamalowanie ich.

Dwa tygodnie temu na drzwiach pojawił się szyld, zawieszony na linie przymocowanej do przezroczystej plastikowej przysawki. Głosił:

WKRÓTCE OTWARCIE!
SKLEPIK Z MARZENIAMI
CZEGOŚ TAKIEGO JESZCZE NIE BYŁO!
NIE UWIERZYCIE WŁASNYM OZOM!

– Kolejny sklep z antykami – orzekła matka Briana w rozmowie z Myrą. Rozmawiała z nią rozparta na kanapie. W jednej ręce trzymała słuchawkę, drugą wyciągała wiśnie w czekoladzie z otwartego pudełka, gapiąc się jednocześnie w telewizor, gdzie szła właśnie *Santa Barbara*. – Kolejny sklep z antykami, pełny fałszowanych wczesnoamerykańskich mebli i tych starych telefonów na korbkę. Poczekaj, a zobaczysz!

Rozmowa miała miejsce wkrótce po tym, jak najpierw zamontowano, a potem zamalowano okna wystawowe. Matka mówiła z takim przekonaniem, że Brian nabrał całkowitej pewności, iż temat został wyczerpany. Tylko że z jego matką żaden temat nigdy nie był do końca wyczerpany. Jej domysły i podejrzenia ciągnęły się w nieskończoność jak problemy bohaterów serialu *Santa Barbara* lub *Szpitala miejskiego*.

W zeszłym tygodniu pierwsza linijka napisu na szyldzie została zmieniona:

WIELKIE OTWARCIE 9 PAŹDZIERNIKA PRZYJDŹCIE Z PRZYJACIÓLMI!

Brian nie interesował się sklepem tak bardzo jak jego matka (i niektóre nauczycielki; słyszał, jak rozmawiają na ten temat w pokoju nauczycielskim szkoły podstawowej w Castle Rock, kiedy wypadł tam jego dyżur), ale miał jedenaście lat, a zdrowego jedenastolatka interesuje wszystko co nowe, a poza tym fascynowała go nazwa. Sklepik z Marzeniami – co to właściwie takiego?

Owo zmienione pierwsze zdanie przeczytał w zeszły wtorek, wracając do domu ze szkoły. We wtorki popołudniami zostawał w szkole. Urodził się z zajęczą wargą i chociaż operowano go w wieku siedmiu lat, nadal chodził na lekcje wymowy. Każdemu, kto go o to pytał, oznajmiał, że nienawidzi tych zajęć, ale w rzeczywistości było wręcz odwrotnie. Brian był do szaleństwa, beznadziejnie zakochany w pannie Ratcliffe i przez cały tydzień wyczekiwał jej lekcji. Wtorkowe przedpołudnie trwało dla niego tysiąclecie, z których ostatnie dwie godziny spędzał pogrążony w słodkim podnieceniu.

Oprócz niego na lekcje chodziło jeszcze czworo innych uczniów i wszyscy oni mieszkali po przeciwnej stronie miasteczka. Bardzo mu to odpowiadało. Po godzinie spędzonej w jednej sali z panną Ratcliffe był zbyt oszołomiony, by znieść czyjekolwiek towarzystwo. Lubił wracać do domu powoli, ciesząc się spokojem popołudnia; zazwyczaj pchał rower, zamiast na nim jechać, i marzył o pannie Ratcliffe, podczas gdy w skośnych promieniach październikowego słońca mieniły się żółto i złoto opadające liście.

Jego droga prowadziła główną ulicą Castle Rock na odcinku trzech przecznic, naprzeciw parku miejskiego. Od dnia, w którym zobaczył zawiadomienie o otwarciu Sklepiku z Marzeniami, miał zwyczaj przykładać nos do szklanych drzwi, w nadziei że dostrzeże to,

co znalazło się w środku zamiast masywnych biurków i urzędowych żółtych ścian nieodżałowanej Agencji Obrotu Nieruchomościami Zachodniego Maine i Ubezpieczeń. Nie zaspokoił ciekawości. Wisząca na drzwiach roleta była zasunięta. Dostrzegał jedynie własne odbicie: twarz i przyłożone do szyby dłonie.

W piątek, czwartego, w wychodzącym w Castle Rock tygodniku „Call” ukazała się reklama nowego sklepu, ujęta w ozdobną ramkę. Poniżej tekstu dęły w trąby dwa odwrócone do siebie plecami anioły. Reklama w zasadzie niczym nie różniła się od tej, która wisiała na przyssawce; sklep nazywał się Sklepik z Marzeniami, otwarcie odbędzie się dziewiątego października rano i oczywiście – „Nie uwierzycie własnym oczom”. Nic nie wskazywało, jakim towarem zamierza handlować właściciel czy też właściciele Sklepiku z Marzeniami.

Najwyraźniej szalenie zirytowało to Corę Rusk; zirytowało do tego stopnia, że choć była sobota rano, postanowiła zadzwonić do Myry.

– Ja tam uwierzę własnym oczom, bez obawy! – powiedziała. – Kiedy zobaczę te łóżka na sprężynach, które mają podobno dwieście lat, a tymczasem na ramie wybite jest „Rochester, Nowy Jork” i wystarczy tylko pochylić się i zajrzeć pod spód, żeby to zobaczyć. O tak, uwierzę własnym oczom, nie ma strachu!

Myra coś jej na to powiedziała. Cora słuchała, wyjadając wprost z puszek orzeszki w czekoladzie, po jednym i dwa, i żując je pracowicie. Brian i jego młodszy brat, Sean, siedzieli na podłodze oglądając telewizję. Seana pochłonął bez reszty świat Smurfów, Brian zaś, choć światek małych niebieskich ludzików nie był mu całkowicie obojętny, jednym uchem przysłuchiwał się rozmowie.

– Jaaasne! – ryknęła Cora Rusk. Myra musiała wygłosić właśnie szczególnie cenną uwagę, bowiem w głosie Cory więcej było triumfalnej pewności niż zazwyczaj. – Wysokie ceny i telefony na korbkę.

Wczoraj, w poniedziałek, Brian wracał ze szkoły z kilkoma kolegami. Kiedy mijali sklep, dostrzegł, że rankiem zainstalowano nad nim ciemnozieloną markizę, na której białymi literami było wypisane: „Sklepik z Marzeniami”. Polly Chalmers, prowadząca w miasteczku pracownię krawiecką, stała na chodniku z rękami na swych jakże godnych zazdrości szczupłych biodrach, wpatrzona w markizę z wyrazem zdumienia i zachwytu jednocześnie.

Brian, który niejedno wiedział o markizach, uznał tę za godną najwyższego podziwu. Była to jedyna „prawdziwa” markiza na głównej ulicy; dzięki niej sklep wyglądał... niezwykle. Określenie „z klasą” nie

należało do czynnego słownictwa Briana Ruska, lecz natychmiast zorientował się, że drugiego takiego sklepu w Castle Rock nie ma – i nigdy nie było. Dzięki markizie Sklepik z Marzeniami sprawiał wrażenie czegoś, co można obejrzeć w telewizji. Western Auto po przeciwnej stronie ulicy wyglądało przy nim na zaniedbane i prowincjonalne.

Kiedy wrócił do domu, zastał matkę na kanapie przed telewizorem, w którym szła *Santa Barbara*. Tym razem pochłaniała babeczki z kremem i dietetyczną colę. Cora zawsze piła dietetyczną colę lub pepsi; Brian nie bardzo rozumiał czemu, skoro popijała nią to, co popijała, ale wiedział, że pytać o to byłoby niebezpiecznie. Mama mogłaby nawet zacząć krzyczeć, a kiedy mama zaczynała krzyczeć, należało natychmiast rzucać się na poszukiwania głębokiej dziury w ziemi.

– Cześć, mama! – krzyknął, ciskając książki na kuchenny stół i wyciągając mleko z lodówki. – Wiesz co? Nad tym nowym sklepem jest markiza!

– Która z nich to markiza? – dobiegł go z pokoju głos matki, pograżonej w *Santa Barbara*.

Brian nalał sobie mleka i poszedł do dużego pokoju.

– Nie tu – powiedział. – Nad tym nowym sklepem, w centrum.

Cora usiadła wyprostowana, odszukała pilota i wyłączyła dźwięk. Al i Corinne nadal omawiali problemy w swej ulubionej restauracji w Santa Barbara, ale jakie to były problemy, mógł dowiedzieć się tylko ktoś, kto umie czytać z warg.

– Co? Nad tym Sklepikiem z Marzeniami?

– Uhu – przytaknął Brian, który właśnie pił mleko.

– Nie siorb – pouczyła go matka, wpychając sobie ciasteczko w usta. – To obrzydliwe. Ile razy mam ci powtarzać?

Tyle, ile powtarzałaś mi, żebym nie mówił z pełnymi ustami, pomyślał Brian, ale zachował tę uwagę dla siebie. Bardzo wczesnie przekonał się, co jest złotem.

– Przepraszam, mam.

– Jaka to markiza?

– Zielona.

– Tłoczona czy aluminiowa?

Brian, którego ojciec robił wykończeniówkę dla Dick Perry Siding and Door Company w South Paris, doskonale wiedział, o czym mówi mama, lecz gdyby markiza Sklepiku z Marzeniami była tłoczona lub aluminiowa, w ogóle nie zwróciłby na nią uwagi. Aluminiowe i tłoczono-

ne markizy to masówka. Połowa domów w Castle Rock miała je nad oknami.

– Nie, nie. Jest z materiału... płócienna chyba. Wystaje nad ulicę, rzuca cień na chodnik! I jest okrągła, o taka! – złożył dłonie w półokrąg, uważając, by nie rozlać mleka. – Na wierzchu ma nazwę sklepu. Wygląda bajecznie!

– No, niech mnie zarzną! – tymi słowami Cora wyrażała najczęściej podniecenie lub gniew. Brian cofnął się o krok na wypadek, gdyby chodziło o drugie z wymienionych tu uczuć.

– Mamusku, a co to będzie? – spytał. – Restauracja?

– Nie wiem. – Cora Rusk wyciągnęła rękę po stojący na stole różowy telefonik. Żeby go dosięgnąć, musiała zrzucić ze stołu kota imieniem Squeebles, gazetę z programem telewizji i litrową butelkę coli. – Niesamowite.

– Mamo, a co to znaczy Sklepik z Marzeniami? Czy to coś jak...

– Nie przeszkadzaj mi teraz, Brian. Mama jest zajęta. W pudełku znajdziesz hot dogi, jeśli jesteś głodny. Zjedz jednego, ale tylko jednego, niedługo będzie kolacja. – Mówiąc to wykręcała numer Myry i już wkrótce obie panie z wielkim entuzjazmem dyskutowały kwestię markizy.

Brian, który nie miał ochoty na hot doga (bardzo kochał mamę, ale czasem patrząc na to, jak je, tracił apetyt), usiadł przy kuchennym stole, otworzył podręcznik matematyki i zabrał się do pracy domowej; był inteligentnym, obowiązkowym chłopcem i tylko matematyki nie zdążył odrobić w szkole. Metodycznie przesuwał przecinki i dzielił, słuchając, co też mama ma do powiedzenia przez telefon. Mama po raz kolejny powtarzała Myrze, że w Castle Rock będą mieli jeszcze jeden sklep sprzedający stare, śmierdzące butle perfum i zdjęcia czyichś martwych krewnych i doprawdy wstyd, jak takie sklepiki powstają i znikają. Za wielu jest ludzi – twierdziła Cora – których życiowym mottem jest „nachap się i w nogi”, a kiedy mówiła o markizie, miało się wrażenie, że markizę wymyślono tylko po to, by obrazić ją osobiście... i że w tym względzie osiągnięto kolosalny sukces.

Moim zdaniem uważa, że ktoś powinien zasięgnąć przedtem jej rady, pomyślał Brian, podczas gdy pióro poruszało się systematycznie, dzieląc, przenosząc, zaokrąglając. Aha, o to właśnie chodzi. Jest ciekawa – po pierwsze. I jest też wściekła – po drugie. Ta mieszanina ciekawości i wściekłości doprowadza ją niemal do szału. Wkrótce dowie

się, o co tu chodzi. A kiedy się dowie, może i jemu zdradzi ten wielki sekret? A jeśli będzie zbyt zajęta, by mu go zdradzić, i tak dowie się wszystkiego, słuchając jej rozmów z Myrą.

Okazało się jednak, że Brian poznał kilka sekretów Sklepiku z Marzeniami przed matką, Myrą i w ogóle kimkolwiek z Castle Rock.

2

Zawzięcie pchał swój rower, wracając ze szkoły po południu w dniu poprzedzającym otwarcie Sklepiku z Marzeniami. Tkwił głęboko w marzeniach (nie opowiedziałby o nich nikomu, nawet gdyby przypalano go gorącym węglem lub na przykład grożono tarantulami), w których zapraszał pannę Ratcliffe na jarmark w Castle Rock. Panna Ratcliffe przyjęła jego zaproszenie!

– Dziękuję ci, Brian. – Łzy wdzięczności błyszczą w kącikach jej niebieskich oczu, oczu tak ciemnoniebieskich, że wyglądają niemal jak niebo przed burzą. – Ostatnio... byłam bardzo smutna. Straciłam ukochanego...

– Pomogę ci o nim zapomnieć – głos Briana jest jednocześnie szorstki i czuły – jeśli zechcesz mówić mi Bri.

– Dziękuję ci... – szepcze panna Ratcliffe, a potem, pochylając się tak, że Brian czuje zapach jej perfum – aromat polnych kwiatków wprost z marzeń – dodaje: – ...Bri. A ponieważ, przynajmniej dziś, jesteśmy dla siebie chłopcem i dziewczyną, a nie uczniem i nauczycielką, czy będziesz mi mówił Sally?

Brian bierze ją za rękę. Patrzy jej w oczy.

– Nie jestem dzieckiem. Pomogę ci o nim zapomnieć... Sally.

Jest niemal zahipnotyzowana tym niespodziewanym porozumieniem, jego nieoczekiwaną męskością; być może ma zaledwie jedenaście lat – myśli – ale jest mężczyzną, którym Lester nigdy nie będzie. Zaciska dłoń na jego dłoni. Ich twarze są blisko... coraz bliżej...

– Nie – szepcze, a jej oczy są tak bliskie, tak wielkie, że Brian niemal się w nich topi – nie wolno nam... nie wolno... nam... Bri...

– Wolno, kochanie – odpowiada chłopiec i przyciska usta do jej ust. Panna Ratcliffe odsuwa się po długiej chwili, szepcząc czule...

– Hej, gówniarzu, patrz, gdzie leziesz!

Przywołany gwałtownie do rzeczywistości Brian zorientował się, że właśnie wślazł pod koła półciężarówki Hugh'a Priesta.

– Bardzo pana przepraszam, panie Priest! – powiedział, rumieniąc się jak wściekły. Hughowi Priestowi także niewiele brakowało do wściekłości. Pracował dla Wydziału Robót Publicznych i miał opinię najgwałtowniejszego z mieszkańców Castle Rock. Brian przyglądał mu się spod oka. Gdyby tylko Hugh otworzył drzwi samochodu, natychmiast wskoczyłby na rower i znikł w perspektywie ulicy mniej więcej z prędkością światła. Nie miał zamiaru przeleżeć najbliższego miesiąca w szpitalu tylko dlatego, że marzył o zaproszeniu panny Ratcliffe na jarmark.

Ale Hugh Priest trzymał między nogami butelkę piwa, z radia leciał Hank Williams, Jr. śpiewając „Na haju, pod ciśnieniem”, i w ogóle było mu odrobinę za dobrze, by podjąć jakąś radykalną decyzję – na przykład wysiąść i sflekować gówniarza w to śliczne wtorkowe popołudnie.

– Lepiej szeroko otwieraj oczka – powiedział i łyknął z butelki, mierząc Briana złowrogim spojrzeniem – bo następnym razem mogę nie fatygować się naciskaniem hamulca. Po prostu rozsmaruję cię po asfalcie. Ale będziesz piszczał, malutki! – Wrzucił bieg i odjechał. Brian poczuł przemożną (choć na szczęście krótkotrwałą) pokusę, by krzyknąć za nim: „A niech mnie zarzną!”. Zaczekał, aż pomarańczowy samochód robót drogowych skręci w Linden Street, a potem ruszył przed siebie. Wszelkie marzenia o panie Ratcliffe rozplynęły się, niestety, w powietrzu; Hugh Priest był niczym powiew rzeczywistości. Panna Ratcliffe nie pokłóciła się ze swym narzeczonym, Lesterem Pratterem, nadal nosiła na palcu pierścionek zaręczynowy z maleńkim diamentem i nadal jeździła jego niebieskim mustangiem, czekając, aż jej własny samochód wróci wreszcie z naprawy.

Brian widział pannę Ratcliffe z Lesterem Pratterem zaledwie wczoraj po południu. Przyklejali te ulotki, HAZARD I SZATAN, na słupach telefonicznych głównej ulicy, oni i jeszcze kilka osób. Wszyscy śpiewali hymny. Problem w tym, że katolicy pojawiali się zaraz po ich przejściu i zdierali nalepione ulotki. W pewien sposób strasznie to było śmieszne... ale gdyby Brian był choć odrobinę starszy, zrobiłby wszystko, by własnym ciałem chronić ulotki, których dotykały święte ręce panny Ratcliffe.

Pomyślał o jej ciemnoniebieskich oczach, długich nogach tancerki i zdumiał się, jak zawsze na myśl o tym, że od stycznia Sally z własnej woli przestanie być Sally Ratcliffe, co brzmiało, cudownie, a stanie się Sally Pratt, co dla Briana brzmiało, jakby gruba baba spadała z krótkich, ale bardzo stromych schodów.

No cóż, pomyślał, przechodząc przez ulicę w drodze do domu, może jeszcze zmieni zdanie? Nic nie jest niemożliwe. Albo może Lester Pratt będzie miał wypadek samochodowy, albo dostanie guza mózgu czy coś takiego? Może okaże się nawet, że jest narkomanem? Panna Ratcliffe nigdy nie poślubiłaby narkomana.

Myśli te sprawiły Brianowi ogromną ulgę, nie zmieniało to jednak faktu, że Hugh Priest przerwał mu sen na jawie tuż przed kulminacją (całował pannę Ratcliffe i nawet dotykał jej prawej piersi podczas jazdy tunelem miłości!). To jednak zwariowany pomysł, jedenastoletek zabierający nauczycielkę na jarmark. Panna Ratcliffe jest oczywiście piękna, ale także stara. Powiedziała przecież klasie, że w listopadzie skończy dwadzieścia cztery lata.

Brian złożył więc swoje marzenia wzdłuż zagięć, jak człowiek składający ukochany i często czytany dokument, po czym umieścił je na tylnej półce mózgu, gdzie było ich miejsce. Zamierzał wsiąść na rower i popedałować do domu.

W tej właśnie chwili minął nowy sklep. Zerknął na szyld, coś się w nim zmieniło. Zatrzymał rower i spojrzał uważnie.

Napis: OTWARCIE 9 PAŹDZIERNIKA – PRZYPROWADŹCIE PRZYJACIÓŁ, zniknął. Zastąpiła go biała karteczka z czerwonym napisem: OTWARTE. Tylko to i nic więcej. Brian zapatrzył się na kartkę, z rowerem między nogami, a serce zaczęło mu bić odrobinę szybciej.

Wcale nie mam zamiaru wejść do środka – powiedział do siebie. – Nawet jeśli rzeczywiście otworzyli dzień wcześniej, nie muszę z tego skorzystać, prawda?

A czemu nie? – zadał sobie drugie pytanie.

No, bo okna wystawowe nadal są zamalowane, a roleta na drzwiach wciąż opuszczona. Jeśli wejdę, wszystko może się przydarzyć, dosłownie wszystko.

Jasne. Facet, który prowadzi ten sklepik, jest jakimś Normanem Batesem, przebiera się w ubrania matki, dźga klientów nożem. Jaaasne!

Rany, daj sobie spokój – powiedziała nieśmiała część Briana, ale brzmiało to tak, jakby już wiedziała, że poniosła klęskę. W końcu rzeczywiście jest w tym coś dziwnego.

A potem Brian pomyślał o matce. Widział, jak mówi jej nonszalancko: „A tak przy okazji, mamo, ten nowy sklep, ten Sklepik z Marzeniami? No... otworzyli go dzień wcześniej. Byłem tam, rozejrzałem się trochę”.

Mama z pewnością wyciszy wtedy telewizor i zerwie się z kanapy. Jasne, bez dwóch zdań! Będzie chciała dowiedzieć się wszystkiego, dosłownie wszystkiego!

Temu obrazowi po prostu nie mógł się oprzeć. Postawił rower na podpórce, wszedł pod markizę – w jej cieniu było wyraźnie chłodniej – i podszedł do drzwi Sklepiku z Marzeniami. Kiedy nacisnął staroświecką mosiężną klamkę, uświadomił sobie, że tabliczka z napisem: OTWARTE, została pewnie zawieszona przez pomyłkę. Czekala tam, za szybką drzwi, na jutrzejszy dzień i ktoś ją powiesił przypadkiem. Zza rolety nie dobiegał nawet najcichszy dźwięk. Brian miał wrażenie, że Sklepik z Marzeniami jest pusty.

Ale skoro już zaczął, poruszył klamką. Obróciła się łatwo. Stuknęła zapadka i drzwi Sklepiku z Marzeniami stanęły przed nim otworem.

3

W środku było mroczno, ale nie ciemno. Brian dostrzegł, że w szynach na suficie zainstalowano ruchome lampy punktowe (specjalność Dick Perry Siding and Door Company) i że niektóre z nich były zapalone. Ich światło padało na gablotki, w większości puste, umieszczone wokół dużej sali. Lampy oświetlały te, w których coś się jednak znajdowało.

Podłoga – w czasach Agencji Obrotu Nieruchomościami Zachodniego Maine i Ubezpieczeń gołe deski – pokryta była grubym dywanem w kolorze czerwonego wina. Ściany pomalowano na oślepiającą biel. Pasma światła, równie białego jak ściany, przenikały przez zamalowane okna.

To jednak pomyłka – pomyślał Brian. – Nie sprowadzili jeszcze towaru. Ktoś, kto przez pomyłkę umieścił na drzwiach napis: OTWARTE, przez pomyłkę także ich nie zamknął. W tych okolicznościach najgrzeczniej byłoby wyjść, zamknąć drzwi za sobą, wskoczyć na rower i odjechać.

A jednak bardzo nie chciał wyjść. Przecież właśnie widział, naprawdę widział, wewnątrz nowego sklepu. Kiedy mama się o tym dowie, przegada z nim całe popołudnie, aż do wieczora. Najgorsze było jednak to, że Brian nie bardzo wiedział, co właściwie widzi. W gablotkach znajdowały się jakieś

(eksponaty)

towary, oświetlone blaskiem lamp punktowych – pewnie sprawdzają instalację – ale co to za towary, nie miał najmniejszego pojęcia.

Tylko jedno było jasne – nie są to sprężynowe łózka i stare telefony na korbkę.

– Dzień dobry – rzucił niepewnie w przestrzeń. – Jest tu kto?

Stał na progu gotów do wyjścia, kiedy jakiś głos powiedział:

– Ja tu jestem.

Wysoka – na pierwszy rzut oka wydawało się, że niesamowicie wysoka – postać pojawiła się w drzwiach za jedną z gablotek. Drzwi zasłaniała aksamitna kotara. Przez moment Brian czuł paniczny strach, a potem twarz mężczyzny ukazała się w świetle jednej z lamp i lęk ustąpił. Mężczyzna był stary. Sprawiał wrażenie bardzo łagodnego. Patrzył na Briana z zaciekawieniem i z przyjaznym uśmiechem.

– Zostawił pan otwarte drzwi, więc pomyślałem...

– Oczywiście, że drzwi były otwarte. Zdecydowałem, że dziś po południu otworzę na kilka godzin... tak na próbę. Jesteś moim pierwszym klientem. Wchodź, przyjacielu, wchodź i podziel się ze mną odrobiną szczęścia, które ze sobą przynosisz.

Wysoki, stary mężczyzna z uśmiechem wyciągnął dłoń. Uśmiechał się zaraźliwie i Brian natychmiast go polubił. Musiał przekroczyć próg, wejść do środka, by ucisnąć wyciągniętą dłoń; wszedł jednak bez najmniejszego wahania. Drzwi same się za nim zamknęły i zapadka zaskoczyła sama, ale Brian tego nie zauważył. Zbyt był zajęty obserwowaniem mężczyzny o ciemnoniebieskich oczach, dokładnie takich, jak oczy panny Sally Ratcliffe. Mogli być ojcem i córką.

Uścisk dłoni właściciela Sklepiku z Marzeniami był mocny i pewny, lecz nie bolesny. Mimo to było w nim coś nieprzyjemnego, dłoń miał jakby... śliską. I nieco zbyt twardą.

– Miło mi pana poznać – powiedział Brian.

Ciemnoniebieskie oczy wpatrzyły się w jego twarz jak latarnie lokomotywy.

– Mnie również, mnie również – powiedział mężczyzna.

W ten właśnie sposób Brian Rusk poznał właściciela Sklepiku z Marzeniami, zanim poznała go reszta Castle Rock.

4

– Nazywam się Leland Gaunt – powiedział wysoki mężczyzna. – Ty zaś jesteś...

– Brian. Brian Rusk.